

Miasto 12

Nazywam się Jane. W języku urzędowym i bardziej rozpowszechnionym jestem 12 2 24 2TM. Rozszyfrowując, mieszkam w mieście numer 12, moja klasa społeczna to dwójka – środkowa, urodziłam się w roku 2124 co daje mi teraz piętnaście lat, jestem drugim dzieckiem Toma i Mary. Żyję w świecie gdzie wszystko ma swoją przypisaną liczbę: miasta, ulice, budynki, zwierzęta i nawet ludzie. Od razu po urodzeniu dostaje się swój własny numer, którym ludzie się przedstawiają. Przed III Wojną Światową wszystko miało swoją nazwę słowną, ale po niej starano się stworzyć lepszy świat. Ludzi podzielono na klasy według ich majątku, wybrano premiera – głowę państwa, który wszystkimi rządził, ponumerowano wszystkie miasta według wielkości, a stolicą ustanowiono miasto numer 12. I to właśnie tam szesnastego października dwa tysiące sto trzydziestego dziewiątego roku rozpoczął się bunt rebeliantów.

Wokół panował chaos. Ludzie rozbiegali się w popłochu, a ja nie wiedziałam co mam robić. Do sali wbiegło kilkanaście ubranych na czarno postaci. Każdy z nich miał zakrytą twarz, a niektórzy trzymali w rękach pistolety lub kije bejsbolowe. Jak na razie oddali tylko jeden strzał w sufit, ale to wystarczyło by wprowadzić ogólną panikę. Tłum pchał mnie we wszystkie strony. Nie wiedziałam czy uciekać w strachu, czy zachować spokój. Chociaż byłam świadoma, że w takich sytuacjach należy myśleć trzeźwo i logicznie, to dałam się ponieść emocjom i zaczęłam bezmyślnie przepychać się przez tłum. Byłam kilka metrów od drzwi, kiedy usłyszałam kolejny wystrzał. Nie mogłam się powstrzymać przed obróceniem się i sprawdzeniem co się dzieje. Nie dostrzegłam wiele, oprócz tego, że wszyscy ochroniarze zebrali się wokół premiera, starając się go wyprowadzić z sali.

- Stać! - krzyknął ktoś męskim, niskim głosem.

Domyśliłam się, że to któraś z zamaskowanych postaci. Tłum na chwilę ucichł i uspokoił się. Stałam na palcach i wyciągnęłam szyję, by zobaczyć co się dzieje. Przy każdym wyjściu stał zamachowiec, każdy z nich był uzbrojony, lecz większość przedostała się na środek sali, ustawiając się w coś na kształt okręgu, uniemożliwiając premierowi ucieczkę. Przełknęłam głośno ślinę, kiedy dotarło do mnie w jakim niebezpieczeństwie się znajduję. Nie było żadnych dróg ucieczki.

- Oddasz się w nasze ręce, a nic się nie stanie chłopakowi. - dotarł do mnie głos z oddali. Słowa wypowiedział jeden z zamachowców, wchodząc na podwyższenie, skąd każdy mógł go zobaczyć. Był niski, lecz nawet przez koszulkę było wyraźnie widać jego umięśnione ramiona. Rzeczą, która w tym wszystkim najbardziej mnie przerażała, był przedwojenny pistolet w jego dłoni, którym celował w człowieka, którego ramię mocno trzymał drugą ręką. Tym człowiekiem był mój starszy brat. Zamrugałam szybko, kilka razy nie dowierzając. John stał tam, nie próbując się wyrwać, uciekać ani nawet kopnąć trzymającego go człowieka, chociaż tak jak ja dobrze znał karate. Przyszło mi na myśl, że może sparaliżował go strach, lecz jego mina nie wyglądała na przerażoną. Może ktoś, kto nie znał mojego brata pomyślałby tak, lecz jego twarz wyglądała dokładnie tak, jak w wieku siedmiu lat, gdy próbował mnie nabrać, że pod łóżkiem jest potwór. Zarówno jako pięciolatka jak i dziesięć lat później wiedziałam, że udawał. Coś było nie w porządku.

- Mogę go zastrzelić w każdym momencie... - kontynuował zamachowiec już mniej opanowanym i pewnym siebie głosem.

Wynikało to z tego, że jeden z ochroniarzy także wyjął pistolet i wcelował centralnie w niego. Między bronią widać było sporą różnicę. Rządowi ochroniarze byli wyposażeni w najnowszą technologię, pozwalającą oddać wiele strzałów pod rząd z niemal niezawodną celnością, pistolety zamachowców przypominały przedwojenną broń, którą znałam ze starych filmów, które kolekcjonował mój tata.

- Nic mi nie zrobisz. Nie zaryzykujesz...

Przerwał mu przeraźliwy huk. Dopiero po chwili dotarło do mnie co się stało. Ochroniarz

jednak zaufał swojej broni i strzelił prosto w ramię mężczyznę, który natychmiast puścił mojego brata i zbiegł z podwyższenia. Jego towarzysze musieli uznać to za zły znak i zaczęli w pośpiechu się wycofywać. Za to ludzie wokół mnie, korzystając z zamieszania, rzucili się biegiem w kierunku każdej możliwej drogi ucieczki, przy okazji przewracając mnie na ziemię. Upadłam na kolana i podparłam się rękoma, by nie zderzyć się twarzą z ziemią. Obraz przed oczami rozmazał mi się i zrozumiałam, że okulary spadły mi z nosa. Zaczęłam szukać, obmacując przestrzeń wokół rękoma. Cała trzęsłam się ze strachu. Wyobrażałam sobie, że ktoś podchodzi do mnie i przykładła mi pistolet do skroni. Wokół mnie biegali ludzie, ale nikt nie zatrzymał się żeby pomóc. Nawet ktoś, kto się o mnie potknął. Po dłuższej chwili czolgania się na czworakach zobaczyłam rozmazaną sylwetkę kobiety klękającą obok mnie. Nieznajoma podniosła coś z ziemi i podała mi. Tym czymś okazały się być moje okulary. Pośpiesznie je założyłam. Nie zdołałam się przyjrzeć mojej wybawczyni, ponieważ odbiegła w pośpiechu, ale byłam prawie pewna, że była ubrana na czarno, miała zielone oczy, a pół twarzy zasłonięte szalikiem.

Przy wyjściu stali policjanci, przepuszczając ludzi na zewnątrz, sprawdzając przy okazji czy nie mają przy sobie broni. Przeszłam obok nich i wydostałam się z budynku jako jedna z ostatnich osób. Wokół było jeszcze więcej policjantów. Niektórzy z nich siedzieli w samochodach, których było pełno w pobliżu, a inni przeszukiwali teren z bronią w rękach. Nieco dalej stało kilka karet, obok których gromadzili się cywile. Ruszyłam w tamtym kierunku, by znaleźć się jak najdalej od prawdopodobnego zagrożenia. Powoli uspokajałam oddech i dochodziłam do siebie. Poczułam się o wiele lepiej, kiedy zobaczyłam znajomych ze szkoły oraz mojego brata siedzącego w karetce, otoczonego grupką przyjaciół i śmiejącego się razem z nimi jak gdyby nie stało się nic dziwnego. Chciałam do niego podejść, lecz przeszkodził mi ratownik medyczny, który podszedł do mnie z latarką.

- Wszystko w porządku? - zapytał świecąc mi urządzeniem po oczach.

- Tak, nic mi nie jest – odpowiedziałam.

Musiał uwierzyć mi na słowo lub wyczytać całą prawdę w moich źrenicach, bo po chwili odszedł by zająć się innymi. Nie dostrzegłam, żeby ktokolwiek był ranny. Ludzie byli po prostu szokowani. Kilku nauczycieli biegło w kółko próbując policzyć uczniów, lecz wydawało się to niemalże niemożliwe w takim tłumie, gdy każdy się przemieszczał.

- Tu jesteś – usłyszałam głos za sobą.

Odwróciłam się i zobaczyłam dwie koleżanki z klasy idące w moim kierunku.

- Ah, to wy – powiedziałam zdezorientowana – Wiecie co się dzieje?

- To był zamach. Nie wiadomo o co chodziło – powiedziała jedna, a potem wzięła mnie za rękę, poprowadziła na ławkę i posadziła mnie na niej.

- Ci ludzie jakby rozplynęli się w powietrzu. - dopowiedziała druga, siadając obok nas - Ja myślę, że to ktoś z tłumu. Broń mieli schowaną gdzieś w budynku.

- Albo to jacyś zbuntowani ochroniarze.

- To były też kobiety. Dobrze wiemy, że kobiety nie mogą pracować w ochronie.

- To może żony ochroniarzy.

Po pewnym czasie przestałam ich słuchać, przytłoczona przez nadmiar informacji. Oglądałam budynki bogatej dzielnicy miasta i rozmyślałam o kobiecie, która mi pomogła. Była jedną z zamachowców, tego byłam pewna, lecz raczej nie wyglądała na zbuntowaną żonę ochroniarza. Wydawała się młoda, jakby miała najwyżej dwadzieścia lat.

- Jane! - rozmyślenia przerwała moja mama, która szła szybko w moim kierunku.

Wstałam i dałam się przytulić. Ponad ramieniem matki zobaczyłam, że tata idzie w naszym kierunku razem z Imię. Pożegnałam się z koleżankami i zdezorientowana dałam się zaprowadzić do samochodu ojca, który lata świetności miał już dawno za sobą i nadawał by się bardziej na eksponat w muzeum. Lecz tata go uwielbiał jak wszystkie stare rzeczy. Wsiedliśmy do środka. Mama postanowiła ścisnąć się z nami na tylnych siedzeniach. Cały czas trzymała mnie za rękę, jakby za chwilę ktoś miał nas zaatakować. Cieszyłam się, że brat odpowiada na wszystkie uciążliwe pytania rodziców, na temat tego co się stało, chociaż

nasze odczucia co do zdarzeń różniły się od siebie.

- To nic takiego mam, nic mi nie zrobił – mówił spokojnie jakby codziennie ktoś przystawiał mu pistolet do skroni.

- Twoja wychowawczyni mówiła co innego – wtrącił się tata z przedniego siedzenia. Imię wzruszył ramionami.

- Pani Davis boi się wszystkiego.

- A ty jak się czujesz, słońce? - zwróciła się do mnie.

Prawdę mówiąc byłam przestraszona, dezorientowana i oszołomiona.

- Jest okey – mruknęłam nie chcąc jeszcze bardziej martwić mamy.

Dojechanie do domu zajęło nam prawie pół godziny. Co było dobrym czasem, biorąc pod uwagę maksymalną prędkość tego samochodu i to, że wszyscy nas wyprzedzali. Wszystkie domy w okolicy, jak przystało na klasę średnią, były identyczne. Czasami sama się dziwiłam, że rozpoznajemy, w którym mieszkamy. Szare ściany i niebieskie dachówki były ich nieodłącznym elementem. Od razu po wejściu do domu, skierowałam się do swojego pokoju by ściągnąć straszny szkolny mundur i móc zostać sama z własnymi myślami.

Dopiero po dwóch godzinach poczułam się na siłach żeby porozmawiać z rodzicami.

Kiedy weszłam do salonu oboje siedzieli na kanapie i oglądali program informacyjny.

- Nie wiadomo kim są sprawcy. Udało im się dostać i wydostać niezauważenie - mówił prezydent

Domyśliłam się, że chodzi o to co stało się w senacie kilka godzin temu.

- W budynku było ponad dwa tysiące ludzi w tym uczniowie z pobliskich szkół. Nikomu nie stała się krzywda, co jeszcze bardziej zadziwia. Intencje sprawców są nieznane, lecz...

Nie usłyszałam reszty wypowiedzi, ponieważ mama zauważyła, że jestem w pokoju i pośpiesznie wyłączyła telewizor.

- Możesz włączyć, posłucham razem z wami – powiedziałam.

- Siadaj, rozmawiamy – odpowiedziała mama, odkładając pilota na stół i kończąc dyskusję. - Jak się czujesz?

- W porządku – westchnęłam i usiadłam obok niej – Co jeszcze mówili? No wiecie... o zamachu.

Co prawda byłam roztrzęsiona, ale bardzo chciałam wiedzieć więcej, zwłaszcza po tym jak ktoś, kto biegał z bronią i był z założenia złym człowiekiem, pomógł mi.

- Pewnie bardzo się przestraszyłaś. Ja ,kiedy odebrałam telefon od nauczycieli, byłam przerażona. Ale nie bój się, policja bada sprawę. Na pewno złapią tych przestępców – nawijała mama, nawet nie odpowiadając na moje pytanie.

Tata jak zwykle słucał w milczeniu. Zastanawiałam czy opowiedzieć im całą historię ze zgubionymi okularami, lecz bałam się jak zareagują.

- Trochę się przestraszyłaś, bo... No wiecie... W tym całym zamieszaniu spadły mi okulary i... Musiałam ich szukać... To wszystko.

Mówiąc to wbijałam paznokcie w leżącą obok poduszkę. Z niewiadomego powodu czułam się winna, choć nie miałam powodu.

- Kochanie, to...

Przerwał jej mój brat, który wszedł do pokoju w jednym ręku trzymając telefon, a w drugiej hot-doga. Przez to, że miał go też w ustach zupełnie nie zrozumiałam co powiedział, ale to było bardzo w jego stylu. Problem leżał w tym, że po tym co się stało zachowywał się tak samo jak zawsze. Wiedziałam, że muszę z nim porozmawiać.

Wieczorem zapukałam do pokoju brata, czując się zdeterminowana i lekko zaniepokojona. W głowie układałam sobie najróżniejsze scenariusze przebiegu naszej rozmowy. Zaczynając od kłótni, kończąc na koszarnej opowieści o jego odczuciach. Żaden nie wydawał się pozytywny, ale jeśli chciałam się czegoś dowiedzieć, to musiałam spytać.

Pokój Johna nie był najlepszym miejscem na rozmowę, zwłaszcza przez unoszący się w powietrzu odór starych skarpet pomieszany z zapachem męskiego dezodorantu. Zdecydowałam się jednak tam wejść, ponieważ John od jakiegoś czasu ciągle zamykał

drzwi na klucz, co uniemożliwiało rodzicom wejście tam. Brat otworzył mi po dłuższej chwili.

- Co chcesz, młoda? - zapytał.

Nie lubiłam, kiedy mnie tak nazywał. Byłam tylko dwa lata młodsza, ale ta ksywka podkreślała, że w jego oczach zawsze będę dzieckiem.

- Chcę pogadać – wzruszyłam ramionami starając się nie wyglądać podejrzanie – Mogę wejść?

Wpuścił mnie, lecz podejrzliwie się mi przyglądał. Nigdy nie zdarzało mi się wchodzić tam bez powodu. Weszłam do środka, a John zamknął drzwi. Niestety nie na klucz, więc mój plan się nie powiódł. Mój brat jak zwykle miał zasłonięte rolety i straszny bałagan. Zrzuciłam kilka brudnych ubrań z fotela i usiadłam na nim. John zajął miejsce na łóżku i zaczął grać w popularną grę samochodową. Nie wyłączył tylnego podglądu, więc dokładnie widziałam jak przegrywa z kimś online. Ja natomiast zbierałam się na odwagę żeby zacząć rozmowę. Właściwie wiedziałam, że to nic takiego, lecz i tak czułam dziwny lęk, jakby był to temat tabu.

- No, czego chcesz? - poganiał.

Wzięłam głęboki oddech starając się zapomnieć o złych scenariuszach, które wymyśliłam.

- Ty wiesz coś o tych ludziach – wydusiłam z siebie.

- Nie – nawet nie oderwał wzroku od ekranu.

- Znam cię.

- Niby czemu miałbym? - pokręcił głową z irytacją.

Nerwowo zacisnęłam dłoń na poręczy fotela.

- Wtedy w senacie, zareagowałeś dosyć normalnie. Jakby to był plan. Nie jesteś najlepszym aktorem – stwierdziłam.

- A ty najlepszym detektywem, jeśli mam być szczery. Po prostu miałem pecha – nadal nie patrzył się na mnie, tylko w telefon. Zaczynałam podejrzewać, że to specjalne działanie.

- Jeśli coś wiesz, to musisz powiedzieć policji – mówiłam pod wpływem chwili.

- Przesłuchiwali mnie jak tylko wyszedłem z budynku. Wiedzą tyle co i ja. A nawet gdybym wiedział to i tak bym nie powiedział, bo są... - zawahał się - ...niegodni zaufania.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Rozglądałam się po pokoju. Był tam taki bałagan, że dziwiłam się jak John cokolwiek tam znajduje. Moją uwagę przykuła sterta listów na biurku. John często pisał z ludźmi za pomocą starej poczty. Dziwiło mnie, że nie może po prostu SMS-ować jak normalny człowiek.

- Nigdy nie powiedziałaś od kogo masz te listy – starałam się coś z niego wydusić.

- Od znajomych – jego ton głosu momentalnie się zmienił. Był teraz bardziej zdenerwowany.

Pochyliłam się nad biurkiem i wzięłam do ręki jedną z kopert.

- Zostaw to! – brat momentalnie odłożył telefon i wstał.

Przestraszyłam się i posłusznie odłożyłam list.

- Nie czyta się cudzych listów – rzucił mi wściekle spojrzenie.

- Okey, okey – ja także wstałam – nie złość się.

Stwierdziłam, że nie wyduszę z niego więcej informacji, zwłaszcza kiedy był w takim stanie. Wyszłam z pokoju. Miałam już nowy plan.

Trzy dni później John dostał kolejny list. Do naszego domu przyleciał dron pocztowy i zostawił przesyłkę pod drzwiami. Była godzina dziesiąta, a ponieważ szkoła wciąż nie zaczęła normalnie działać i odwołano lekcje, mój brat jeszcze spał. Rodzice wyszli do pracy, więc otworzyłam drzwi i podniosłam list. Na początku po prostu chciałam go odłożyć, lecz potem się zawahałam. Planowałam, że przeczytam jego korespondencje, by odkryć jego sekret, lecz dotychczas się na to nie odważyłam. Weszłam do kuchni i zamknęłam za sobą drzwi, następnie skupiłam swoją uwagę na kopercie. Była zaadresowana niewyraźnym, odręcznym pismem. Niestety nigdzie nie było danych nadawcy. Wstrzymywałam się z otwarciem listu. Miałam co do tego mieszane uczucia. Mimo, że wiedziałam, że postępuje źle, byłam zdesperowana by dowiedzieć się czegoś więcej. Zwłaszcza po tym jak John zareagował poprzedniego dnia, gdy wzięłam do ręki jego list. Byłam wręcz przekonana, że John ukrywa to co wie, a w ręku prawdopodobnie miałam odpowiedź na pytania, na które

nigdy nie odpowiedziałby mi sam. Po rozważaniach zdecydowałam się przeczytać list. Powoli i delikatnie rozerwałam kopertę trzęsącymi się rękoma. Wyjęłam znajdującą się w środku kartkę, rozłożyłam ją, poprawiłam okulary i zaczęłam czytać.

Drogi Joohn'ie

Nie mogłam napisać wcześniej ze względu na zamieszanie jakie u nas panuje, po nieudanej misji.

Chcę, żebyś wiedział, że wszyscy są Ci bardzo wdzięczni. Jeśli nie będziesz chciał z nami dalej współpracować, daj znać – zrozumiem. Jeśli chcesz, to świetnie. Pomyślałam, że możesz się rozmyślić. Przemyśl to. Jeśli chodzi o Harrisa, to z jego ręką wszystko dobrze. Rana się goi, ale prawdopodobnie już zawsze będzie odczuwał tą kontuzję. Dowódcy mówią, że następny atak będzie bardziej przemyślany, lecz słyszałam to już wiele razy. Na dodatek tego ataku nie da się go zatuszować. W mediach już o tym głośno. Dobrze, że cywilom nic się nie stało, lecz nadal uważam, że lepiej w to nie mieszać ludzi. Czasami zastanawiam się czy warto ryzykować. Już od roku coś planujemy, ale nie widać efektów. Mam poważne wątpliwości. Wolałabym ci o nich opowiedzieć osobiście.

Koniecznienapisz co u Ciebie i czy miałeś jakieś problemy. Mam nadzieję, że wkrótce, nareszcie się zobaczymy. Tęsknię.

*Twoja ulubiona rebeliantka
Sarah xoxo*

Wzięłam głęboki oddech. Nie wiedziałam co o tym wszystkim myśleć. Z tego co rozumiałam mój brat współpracował z zamachowcami. Było tak jak podejrzewałam. Zdałam sobie sprawę, że w głębi duszy chciałam nie mieć racji. Wolałam, by okazało się, że moje przypuszczenia są błędne. Zastanawiałam się, czy skoro mój brat był jednym z nich, to czy byłby w stanie kogoś skrzywdzić. Jednocześnie z tekstu wynikało, że ci ludzie nie chcieli nic zrobić „cywilom”. W takim razie po co było to wszystko? Potem pomyślałam, kim mogła być nadawczyni. Imię Sarah z kimś mi się kojarzyło. John kiedyś spotykał się z dziewczyną o tym imieniu, ale rozstali się ponad rok temu, a potem nie miał nikogo innego. Miałam przypuszczenie, że może jego była dziewczyna tak naprawdę nie jest „była” i to ona napisała list.

- Co tam, młoda? - głos John'a przerwał moje rozmyślenia.

Natychmiast odwróciłam się w jego kierunku, chowając list za plecami, co wyglądało bardzo podejrzanie.

- Nic takiego – odpowiedziałam, starając wsunąć list do tylnej kieszeni spodni.

- Co tam masz?

- Nic.

Najwyraźniej mi nie uwierzył, bo podszedł do mnie i wyciągnął dłoń. Zrozumiałam, że prędzej czy później będę musiała się przyznać, więc ociągając się nieco, podałam mu kartkę. Na początku wydał się zaskoczony, potem przeczytał cały list. Im dłużej czytał, tym wydawał się być bardziej zaniepokojony. Kiedy skończył, spojrzał mi prosto w oczy.

- Skąd to masz?

- Przyszło pocztą...

- To nie daje ci prawa do czytania! - krzyknął.

Rzadko widywałam brata tak zdenerwowanego. Poczułam się winna i jednocześnie trochę się przestraszyłam, więc milczałam.

- Czemu to zrobiłaś?! Kto ci pozwolił?!

- Nikt, ale okłamałaś mnie... - próbowałam się tłumaczyć.

John jedynie zmierzył mnie wściekłym spojrzeniem i wyszedł z kuchni trzaskając drzwiami.

- Czekaaj! – szybko udałam się za nim – Nadal będziesz udawać, że nic nie wiesz?

W odpowiedzi dostałam jedynie trzaśnięcie drzwiami od jego pokoju.

Wieczorem leżałam w pokoju i oglądałam film na telewizorze zamontowanym w

ścianie nad łóżkiem, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi.

- Proszę – powiedziałam siadając.

Do pokoju wszedł John. Wyglądał na o wiele mniej złego. Wyłączyłam telewizor.

- Chyba musimy pogadać – usiadł obok mnie.

- Jesteś mi winien wyjaśnienia.

- Wiem. Ale nic nie daje ci prawa do czytania moich listów.

Przytaknęłam powoli. Właściwie po przemyśleniu sprawy, było mi strasznie głupio, że tak postąpiłam.

- Ale jednak tak... Wytłumaczę ci wszystko – powiedział – Może... Zadawaj pytania.

Musiałam się przez chwilę zastanowić. Chociaż miałam mnóstwo pytań. Problem polegał na tym, że nie wiedziałam od czego zacząć.

- Jesteś jednym z tych ludzi? Zamachowców? - uznałam to za najważniejsze.

- Wolą jak się na nich mówi rebelianci. To nie są źli ludzie. Wiesz, że życie tutaj jest straszne

- powiedział, nadal nie odpowiadając na pytanie – Jesteśmy mamieni, ukrywają przed nami ważne informacje. Rebelianci wiedzą i starają się z tym walczyć.

- Czyli jesteś jednym z nich? - dopytywałam.

- Nie do końca. Ja tylko pomagam.

Brat zaciskał rękę na jednej z moich poduszek. Tak samo jak ja, robił to, kiedy się czymś denerwował lub martwił.

- Okey... Spoko. Tylko dlaczego? I jak?

- Wiem co się dzieje, Sarah mi pokazała... Najbiedniejsi ludzie cierpią, by ci bogatsi mieli jak żyć. Rząd ma pieniądze, mnóstwo. Ludzie po prostu nie zdają sobie z tego sprawy. Jego poplecznicy są bogaci. Rozumiesz? A przed ludźmi takimi jak ty czy ja wszystko się tuszują. Nawet nie zdajesz sobie sprawy jak żyją ludzie z klasy niższej. A oni stanowią ponad trzydzieści procent społeczeństwa.

Nie do końca wiedziałam co powiedzieć. Słyszałam, że ci biedniejsi nie mają lekko, ale zawsze nam mówiono, że to dlatego, że nie chce im się wziąć do roboty. Nigdy nie byłam w biednej dzielnicy miasta, była ogrodzona siatką i dało się tam wejść tylko przez kilka bram w niej umieszczonych.

- A policja... Oni są najgorsi. Nawet jeśli coś złego dzieje się w biedniejszej dzielnicy, nie reagują.

- To... straszne...

- Wiem. Dlatego to robię. Wtedy w senacie... To, jak się pewnie domyślasz, było zaplanowane. Wszystko ustaliliśmy pisząc listy – tłumaczył – No i...

- Czemu listy? - przerwałam mu.

- Skoro wszyscy dzwonią albo wysyłają SMS-y, to rząd skupia się na tym. My odkryliśmy jak można to obejść. Nikt się w tych czasach nie przejmuje kawałkiem papieru.

- Co masz na myśli mówiąc, że rząd się na tym skupia? - zdziwiłam się.

- Przechwytyują wiadomości i telefony. Mają od tego ludzi.

Byłam trochę przytłoczona nadmiarem informacji, ale postanowiłam zadać jeszcze jedno pytanie.

- Czy ta Sarah, ta co napisała list jest tą, z którą chodziłeś?

- Tak i nie – odpowiedział zmuszając się do lekkiego uśmiechu – Nigdy się nie rozstaliśmy. Powiedziałem tak wszystkim. Ona teraz mieszka w kwaterze rebeliantów. Nie miałbym jak wytłumaczyć jej zniknięcia.

- Gdzie jest kwatera rebeliantów.

- W biednej dzielnicy. Tam gdzie nikt się nie zapuszcza. To w...

Przerwał mu głos mamy, która wróciła z zakupów, wołającej o pomoc w noszeniu zakupów z samochodu.

- Tej rozmowy nie było – powiedział wychodząc z pokoju.

Przez kilka kolejnych dni starałam się wydusić z brata informacje, ale nie był on już tak chętny do rozmowy. Kiedy go o coś pytałam, zmieniał temat, odpowiadał jednym słowem

albo w ogóle. Ja za to byłam coraz ciekawsza. Gdy kilka dni później nie mogłam się skupić na nauce, bo myślałam o tym, o czym opowiadał mój brat, podjęłam pochopną i lekkomyślną decyzję – postanowiłam sama znaleźć odpowiedź na nurtujące mnie pytania. Chciałam sama znaleźć bazę rebeliantów. Wiedziałam, że robię strasznie głupią rzecz, lecz w tamtym momencie postanowiłam nie myśleć o konsekwencjach, bo za każdym razem kiedy to robiłam zaczynałam się niesamowicie stresować. W tym wypadku nie miałam ochoty na stres. Wzięłam plecak, który zazwyczaj nosiłam do szkoły, wyjęłam z niego książki i zeszyty, a spakowałam do środka kilka ubrań na zmianę i swój telefon wraz z portfelem i oszczędnościami z kieszonkowego. Chciałam wziąć z kuchni trochę jedzenia, ale na dole zastałam rodziców i John'a. Nie zamierzałam czekać aż pójda spać. Mieliśmy tak mały dom, że trudno by mi było dostać się do drzwi wyjściowych nie zauważona i bez żadnych pytań od rodziców. Wróciłam do pokoju, zarzuciłam plecak na ramię i otworzyłam okno. Wspięłam się na parapet, czując, że serce bije mi coraz mocniej. Po stanowiłam zejść po starej lipie rosnącej obok mojego okna. Kiedy wchodziłam na drzewo, mój plecak zahaczył się o gałąź, a następnie na niej zawisł. Chciałam go ściągnąć, ale o mały włos nie spadłam. Zostawiłam go więc i zaczęłam powoli schodzić na ziemię.

- Jane! - przez otwarte okno usłyszałam głos mamy – Gdzie jesteś?

Nie mogłam pozwolić, żeby zobaczyła jak schodzę po drzewie, bo na pewno by mnie zatrzymała. Strach przed odkryciem mojej ucieczki przewyciężył strach spadaniem z drzewa, a ponieważ byłam już blisko ziemi, puściłam się. Spadłam na nogi, prawie się przewracając. Moje okulary wylądowały obok. Szybko się schyliłam i je podniosłam, widząc zaledwie ich zarys na ziemi. Potem, po chwili zawahania, opuściłam podwórko i ruszyłam w kierunku biednej dzielnicy.

Ściemniało się, a moje serce biło coraz mocniej. Powoli wychodziłam ze strefy szarych jednakowych domów. Po drugiej stronie ulicy dostrzegłam zniszczone budynki. Była to najbiedniejsza dzielnica miasta, którą otaczało ogrodzenie. Powstało ono by oddzielić „biedaków” od „przeciętniaków”. Kiedy podeszłam na tyle blisko, że od ogrodzenia dzieliło mnie jedynie kilka kroków, zawahałam się. Jedna część mnie miała ochotę zawracać do domu i zapomnieć o całej sprawie, a druga chciała przejść przez siatkę, by móc dowiedzieć się czegoś więcej o rebelii, a może nawet, czysto teoretycznie, stać się jej częścią. Mogłabym tak rozmyślać przez cały dzień, gdybym nie zobaczyła dwóch policjantów. Nie miałam czasu na podjęcie decyzji, więc szybkim krokiem ruszyłam wzdłuż ogrodzenia, żeby jak najbardziej się od nich oddalić. W pewnym sensie nie robiłam nic złego, lecz bałam się tych ludzi. Jeśli wierzyć mojemu bratu, byli bardzo stronniczy i służyli rządowi. Nie chciałam żeby mnie aresztowali pod głupim pretekstem, a słyszałam, że tak się zdarzało. Przyspieszyłam kroku. Bałam się spojrzeć za siebie, więc tylko nasłuchiwałam kroków. W pewnym momencie zorientowałam się, że muszę zrobić cokolwiek innego niż iść przed siebie. Problem był taki, że żadne inne rozwiązanie nie przychodziło mi do głowy. Kątem oka dostrzegłam dziurę w ogrodzeniu. Była niewielka, tuż przy ziemi. Zatrzymałam się widząc w niej moją szansę. Wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić, a następnie położyłam się na ziemi twarzą skierowaną w górę, by móc precyzyjnie się przez dziurę. To nie było łatwe, a nawet trochę bolesne. Czułam, że kamienie wbijają mi się w plecy. Nie poszło mi tak sprawnie, jak chciałam, a na dodatek parę razy zahaczyłam lewą ręką o siatkę, w miejscu gdzie była rozerwana. Gdy podniosłam się z ziemi, już w biednej dzielnicy, zobaczyłam, że mój łokieć delikatnie krwawił. Nie miałam jednak czasu czegoś z tym zrobić, bo przypominałam sobie o policji. Ruszyłam ulicą, nie wiedząc czego dokładnie szukam. Budynki wokół były straszliwie zaniedbane. Niektóre z nich miały stłuczone szyby w oknach, a inne doszczętnie zniszczoną elewację. Byłam tam pierwszy raz i przerażało mnie, to jak ciemno robiło się na ulicach. Mimo, znajdowały się tam latarnie, to większość z nich nie świeciła lub tylko migiała co jakiś czas. Słyszałam o tym miejscu sporo, ale nigdy nie sądziłam, że jest w tak złym stanie. Z każdą minutą miałam coraz większą ochotę zawrócić. Powoli ściemniało się, a w oddaleni słychać było krzyki jakiegoś pijanego człowieka. Oprócz

tego, okolica wydawała się opuszczona. Jak gdyby sami mieszkańcy wiedzieli, że nie warto wychodzić z domu. Zorientowałam się, że mam gęsią skórę na rękach. Nie wiedziałam czy to z zimna czy strachu. Powoli zaczynałam żałować, że nie wzięłam bluzy. I, że w ogóle tam przyszedłam.

Błąkałam się po ciemnych ulicach, trzęsąc się z zimna prawie całą noc. Byłam zmęczona i głodna. Nie znalazłam nic co by wskazywało na obecność tutaj rebeliantów. Nie wiedziałam co ze sobą zrobić. Kiedy zaczęło wschodzić słońce, poddałam się. Usiadłam na krawężniku i przeklinałam w myślach swoją głupotę. Pochyliłam głowę i starałam się wymyślić co powiem rodzicom kiedy wrócę do domu, jeśli w ogóle znajdę drogę powrotną do domu. Łzy ciekły mi po policzkach. Byłam bezsilna, zmęczona i daleko od domu. Siedziałam tam zaledwie kilka minut, gdy ktoś obok odezwał się.

- Ej, ty. Co tu robisz?

Podniosłam wzrok. Przede mną stał mężczyzna, którego umięśniona sylwetka wydała mi się znajoma. Miał na sobie czarne ubrania, a twarz zastonił szalikiem. Jego strój od razu skojarzył mi się z zamachowcami z senatu.

- Ja... - szybko wstałam i otarłam łzy – Nie twój interes.

Przerażała mnie myśl, że ten człowiek może mieć broń, lecz starałam się nie dać tego po sobie poznać.

- Zgubiłaś się? - mówił nieprzyjemnym tonem.

Właściwie tego właśnie chciałam – znaleźć rebeliantów, a ten człowiek najprawdopodobniej nim był, lecz kiedy już do tego doszło jeszcze bardziej chciałam wracać do domu.

- Zostaw mnie w spokoju – mój głos brzmiał coraz nie pewniej.

Mężczyzna zbliżył się do mnie. Przestraszyłam się i odruchowo uderzyłam go pięścią w brzuch. Gdy chciałam zadać drugi cios, on odepchnął mnie. Na chwilę straciłam równowagę, ale w porę ją odzyskałam. Po chwili, korzystając z moich umiejętności karate, wymierzyłam przeciwnikowi kolejny cios. Po chwili zaczęliśmy się bić na dobre. Zorientowałam się, że mężczyzna nie chce mi zrobić poważnej krzywdy, lecz był naprawdę wprawiony w walce, a na dodatek bardzo silny. Kiedy chciał przewrócić mnie na ziemię, nie upadłam ja, a jedynie moje okulary, co było nawet gorsze. Musiałam bronić się prawie nic nie widząc. Zostałam przyparta do ściany najbliższego budynku, lecz wciąż się nie poddawałam. Uderzyłam mężczyznę z całej siły w ramię. On odsunął się i wykrzywił z bólu. Zrozumiałam, że to jego słaby punkt. Mocno chwyciłam jego ramię.

- Kim jesteś?! - krzyknął wciąż krzywiąc się z bólu i próbując wyrwać się z mojego uścisku – I czego chcesz?

- Szukam rebeliantów – wyznałam ledwo łapiąc oddech.

- Jednego już znalazłaś. Jestem Harris. Możesz puścić?

Okazało się, że Harris nie miał złych zamiarów, tylko patrolował ulicę, a płacząca na krawężniku dziewczyna wydała mu się podejrzana. Na dodatek znał mojego brata. To on celował mu pistoletem w głowę podczas zamachu. Nie miałam mu tego za złe, wiedząc, że mój głupi brat sam się na ten plan zgodził.

- Więc... Gdzie mnie prowadzisz? - zapytałam.

Opowiedziałam Harris'owi całą historię ucieczki, a on postanowił mi zaufać i zabrać mnie gdzieś.

- Dowiesz się na miejscu.

- Jakim miejscu?.

Chłopak nie odpowiedział tylko rzucił w moim kierunku delikatny uśmiech. Z odkrytą twarzą wydawał się młodszy i całkiem przystojny.

- Zmieniając temat, ile masz lat? - zaciekałam się.

- Wścibska jesteś – stwierdził.

Nie odpowiedziałam, bo musiałabym mu przyznać rację. Jedynie wzruszyłam ramionami.

- Mam siedemnaście – powiedział w końcu.

- To teraz powiedz mi gdzie idziemy? - nalegałam.

- Właściwie... Jesteśmy już na miejscu.

Zatrzymaliśmy się przy dużym, trzypiętrowym budynku. Miał płaski dach, z którego wystawało kilka kominów i zniszczone, szare ściany.

- To jakaś... fabryka? - spojrzałam na niego pytająco.

- Stara. Przenieśli ją. A budynek służy nam za schronienie i mieszkanie. - wytłumaczył. - Pozwól, że cię wprowadzę.

Przeszliśmy przez dziurę w ogrodzeniu, ale tym razem obyło się bez zadrapań. Następnie weszliśmy do środka tylnymi drzwiami. Pomieszczenie, w którym się znaleźliśmy było ogromne i wyglądało na halę produkcyjną. Jedyne co się tam znajdowało to maszyny o różnych kształtach i wielkościach. Niektóre przykryte plandekami, a inne tylko warstwą kurzu. Harris poprowadził mnie przez całą długość pomieszczenia aż do następnych drzwi. Za nimi były tylko schody. Prowadziły albo na górę, albo na dół. My skierowaliśmy się na piętro.

- Wiem, że na razie nie wygląda to dobrze. Musisz zobaczyć resztę – uspokajał mnie chłopak.

Weszliśmy ostatnie piętro. Klatka schodowa była nie oświetlona, dlatego na górze prawie nic nie widziałam. Usłyszałam tylko jak mój towarzysz wyciąga coś brzęczącego z kieszeni, a następnie otwiera drzwi. Poczułam się lepiej kiedy promienie słońca zza drzwi oświetliły schody. Dostrzegłam, że Harris trzyma w ręku klucz, co było dziwne, bo wszyscy zazwyczaj używali kart, które można było zablokować w razie potrzeby.

- To tu – rzekł chłopak – Tu mieszkają wszyscy rebelianci. - wprowadził mnie na długi, jasny korytarz.

- Pewnie teraz wszyscy śpią – zauważyłam, przypominając sobie, że jest najwyżej piąta rano – Harris... Po co mnie tu przyprowadziłeś? - dodałam po chwili.

- Pomyślałem, że przyda nam się ktoś, kto tak dobrze walczy.

- Mogłabym? Zostać tu?

- Chyba tego chciałaś, no nie? Po coś nas szukałaś.

Wtedy właściwie zdałam sobie sprawę, że dotarłam tam, gdzie chciałam. Właściwie to gdy tylko usłyszałam od brata o tym wszystkim, a potem zobaczyłam domy i całe osiedle klasy niższej wręcz mną wstrząsnęło. Nigdy nie podobał mi się podział na klasy, ale nie wiedziałam czy chcę z tym walczyć. Wszystko wydawało mi się takie nowe i niezrozumiałe. Czułam się jakby ktoś wylał na mnie wiadro zimnej wody.

- Myślę, że chcę pomóc – powiedziałam wreszcie.

Harris musiał obudzić kilkanaście osób, których nazwał dowódcami.

- Jest tu tak dużo ludzi, że dzielimy się na małe grupy nazwane oddziałami – tłumaczył, kiedy już zapukał do wszystkich drzwi, położonych wzdłuż korytarza i obudził kogo musiał.

- Z każdego oddziału wybiera się dowódca. Oni decydują o wszystkim. Ja stoję na czele Sokołów – jednego z najmłodszych i najmniejszych oddziałów. Tutaj wszystkie oddziały mają nazwę słowną w przeciwieństwie do systemowego nazywania liczbami.

- Na jakiej podstawie wybiera się dowódców? - zainteresowałam się.

- Doświadczenia, wieku, umiejętności. Bywa różnie.

Na korytarz zaczęli wychodzić ludzie i kierować się w stronę przeciwną od tej, z której przyszliśmy.

- Chodź. Musisz ich najpierw przekonać, że jesteś godna zaufania. Wtedy przydzielą cię do oddziału.

Udaliśmy się za innymi do sali, w której nie było nic oprócz różnego rodzaju krzeseł ustawionych na kształt koła. Zobaczyłam, że Harris, podobnie jak inni, zajmuje miejsce. Nie do końca wiedziałam co robić, póki chłopak nie wskazał mi miejsca obok siebie.

- Powiedz o swoim bracie i pójdzie szybko. Nie musisz się bać, potrzebujemy ludzi, to nie ścisła selekcja. Na dodatek umiesz sztuki walki?

- Karate.

- To świetnie. Na pewno pójdzie dobrze.

Dawał mi wskazówki jeszcze przez kilka minut, dopóki w pokoju nie zebrali się wszyscy

dowódcy.

- Widzę, że kogoś przyprowadziłeś, Harris – powiedział mężczyzna na oko po trzydziestce z blizną na wardze nieco opryskliwym tonem.

- Tak. Ma na imię Jane. Świetnie walczy. Mogłaby nam się przydać – wyjaśnił Harris.

- Skąd o nas wiesz? - spytała nieco milej zaspana, młoda dziewczyna w szlafroku.

Uznałam to na czas żeby się odezwać.

- Od brata. Współpracował z wami podczas zamachu.

- Znalazłem ją niedaleko. Pokonała mnie w walce. Zna karate. I chce pomóc – dodał Harris.

- Znam twojego brata. Miał nikomu o nas nie mówić. Złamał obietnicę? - zapytała ciemnoskóra kobieta siedząca obok mnie.

- Nie... Sama się domyśliłam i przeczytałam jego list. Naprawdę chcę pomóc.

Nie byłam pewna dlaczego to robię, ale czułam, że chcę pomóc.

- Ile masz lat? - zapytał ktoś inny.

- Prawie szesnaście. Mój numer to 12 2 24 2TM.

- Nie interesują nas numery. Poczekaj chwilę na zewnątrz. Zdecydujemy co z tobą zrobić – odezwał się znowu mężczyzna z blizną.

Wstałam i zanim wyszłam spojrzałam na Harrisa, który rzucił mi uspokajające spojrzenie.

Nie wiem ile stałam na korytarzu, czekając, ale czas trochę mi się dłużył. Zajmując czas wyglądałam za okno, oglądając widok z trzeciego piętra na biedną dzielnicę. Budynek, w którym się znajdowałam, był jednym z najwyższych w okolicy. Wieżowce były typowe tylko dla bogatej dzielnicy. Zastanawiałam się czy rodzice mnie szukają i czy John domyśla się gdzie jestem. A jeśli nie, to czy mogłabym mu wysłać list, tak samo jak jego dziewczyna. Byłam tak zamyślona, że nawet nie zauważyłam, że Harris wychodzi z pomieszczenia.

- Mam świetne wieści. Będziesz w moim oddziale – podeszedł do mnie z uśmiechem na ustach.

- Ach, to świetnie – stwierdziłam.

- Wszystko ci pokażę teraz, jeśli nie masz nic przeciwko.

Harris pokazał mi całe piętro, na którym znajdowała się baza, oprócz stołówki, która była zamknięta przed śniadaniem. Na koniec zostawił najważniejsze, czyli sypialnie swojego oddziału. Okazało się to być małe, pomalowane na szaro pomieszczenie. W środku ledwie mieściło się pięć łóżek i duża szafa stojąca w rogu. Na przeciwko wejścia znajdowało się okno, nie zasłonięte żadną firanką czy zasłoną, z zaraz obok niego stał stary telewizor. Mówiąc stary mam na myśli przedwojennego grata, jakie widuje się w muzeum. Nie miał zakrzywionego, dotykowego ekranu ani innych ulepszeń, ale o dziwo działał i właśnie kilka osób oglądało na nim poranne wiadomości, siedząc na jednym z łóżek. Żadne z nich nie zauważyło, że ktoś wszedł do pokoju. Podeszłam kilka kroków w ich kierunku, by zobaczyć program informacyjny. Kątem oka widziałam, że mój towarzysz zrobił to samo. Zauważyłam, że jest tam pokazane wystąpienie prezydenta

- ...jest potrzebny. Bunt musi zostać stłumiony – mówił. - I obiecuję, że zostanie. Dla dobra społeczeństwa – jego głos był ledwo słyszalny przez słabe głośniki – Nasze społeczeństwo zmierza w dobrym kierunku i nie należy psuć tego...

Nie usłyszałam dalszej części wypowiedzi, ponieważ ktoś z całej siły uderzył w przycisk na telewizorze, ty, samym, wyłączając go. Tym kimś była stojąca tyłem do mnie średniego wzrostu dziewczyna z dobrze zbudowanymi ramionami i dużymi dłońmi.

- Chciałem tego posłuchać – powiedział Harris z irytacją w głosie.

Dopiero teraz zauważono naszą obecność. Dziewczyna, która włączyła telewizor, odwróciła się w moim kierunku i zaczęła lustrować mnie wzrokiem. Dopiero po chwili zorientowałam się, że patrzy tylko jednym okiem. Drugie miała zakryte czymś w rodzaju pirackiej przepaski, co nadawało jej groźnego wyglądu.

- Kto to? - zwróciła się do Harrisa podejrzliwie.

Chciałam się odezwać i przedstawić, ale Harris mnie uprzedził.

- To Jane. Znalazłem ją niedaleko, podczas patrolu. Chce nam pomóc – wyjaśnił.

Teraz już wszyscy z oddziału uważnie mi się przyglądali.

- Uciekłam z domu, bo chciałam się więcej dowiedzieć o rebelii. Pochodzę z klasy średniej – dodałam.

- Właśnie – skwitował Harris – Jane, to są Clara, Kim, Andrew i Diana.

Mówiąc to pokazał po kolei na dziewczynę z opaską, tajemniczego bruneta, rudego chłopca mającego góra dwanaście lat i podobną do niego, też rudą, dziewczynę o niesamowicie zielonych oczach. Kiedy na chwilę złapałam z tą ostatnią kontakt wzrokowy, wydało mi się, że gdzieś ją już widziałam.

- Wszystko spoko... - odezwał się któryś z chłopaków - ...ale gdzie ona będzie spać?

Okazało się, że będę spać materacu, pożyczonym z innego pokoju. Wszyscy okazali się bardzo pomocni. Harris i Kim znaleźli mi poduszkę i koc, a dziewczyny przejrzały szafę, by pożyczyć mi jakieś ubrania.

- Obawiam się, że mam tylko dwa komplety ubrań – stwierdziła zielonooka Diana.

Clara za to pożyczyła mi za duże w biodrach spodnie, koszulę w zieloną kratę i dwie szare, znoszone T-shirty.

- Prędzej moje ubrania będą na ciebie dobre – stwierdził Andrew, który okazał się być młodszym bratem Diany. - Chcesz pasek?

- Właściwie to przydałby się – stwierdziłam przykładając spodnie do ciała.

- Albo to, albo nic. Przypominam, że tu wszystko pierzemy ręcznie – odrzekła Clara.

W tym momencie usłyszeliśmy dzwonek na korytarzu.

- Śniadanie! - zawołał Andrew – Nareszcie. Umieram z głodu.

Po tych słowach szybko wyszedł z pokoju.

- Pójdę z nim, jeśli nie macie nic przeciwko – dodała niepewnie Diana.

- Poradzimy sobie. - odpowiedziała jej Clara – Nowa pewnie chce się przebrać.

- Jest kilka podstawowych zasad stołowych, które powinnaś znać jeśli chcesz przetrwać – powiedziała Clara wprowadzając mnie do pomieszczenia. Starłam się podtrzymać pożyczone spodnie, by nie zaliczyć

Był to duży, przestronny pokój. Okna tam miały niewielkie rozmiary i znajdowały się jedynie pod sufitem, przez co do pomieszczenia nie wpadało wiele światła, więc mimo wczesnej pory, paliły się tam żyrandole. Cała stołówka wydawała się pomieszaniem epok i stylów. Zaczynając od niepasujących do siebie stołów i krzeseł, kończąc na czarno-białych fotografiach i starych, spleśniałych obrazach, które zdobiły ściany razem z graffiti.

- Niesamowicie to wygląda – stwierdziłam.

- Ale nie pachnie zbyt dobrze – mruknęła moja towarzyszka – Co odnosi się do pierwszej zasady: jeśli coś pachnie źle, widzisz pleśń lub inną oznakę nieświeżości – nie jedz, ale mniej na uwadze, że będziesz potem głodować cały dzień.

Skinęłam głową.

- Jeśli stosujesz jakąś specjalną dietę, to szczerze współczuję. Ludzie tutaj nie mają czasu się tym zajmować. Muszą wyżywić prawie dwieście osób.

- Nie stosuje diety. Nie należę też do wybrednych – tłumaczyłam.

- No i zasada numer trzy – kontynuowała dziewczyna stając w długiej kolejce – Jeśli chcesz dostać jeść, to musisz się pośpieszyć. Na przykład teraz trochę postoiimy. A jedzenia nie ma nieskończenie wiele.

- Macie tu ludzi od gotowania, tak? - spytałam.

- Taa. To głównie ci, którzy nie chcą walczyć, ale jednak chcą pomóc.

- A skąd bierzecie jedzenie?

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Każdy chciałby wiedzieć – zrobiła lekko zde gustowaną minę i przesunęła się o krok do przodu wraz z całą kolejką.

Rozglądając się po sali, dostrzegłam w tłumie znajomą wyglądającą, wysoką, ciemnoskórą dziewczynę.

- Na co się tak gapisz? - zwróciła się do mnie Clara.

- Wiesz co to za dziewczyna siedząca przy ostatnim stole obok okna? - zapytałam nie chcąc jej wytykać palcami.

Clara się tym nie przejmowała i wskazała w tamtym kierunku.

- Tamta? Ma na imię Sarah.

Po otrzymaniu swojej porcji paćki, nazwanej owsianką, nie byłam pewna, co zrobić. Clara usiadła obok Diany i Andrew. Mi też to zaproponowała. Ja natomiast przyglądałam się dziewczynie brata, zastanawiając się czy do niej nie podejść. Zrozumiałam, dlaczego w pierwszej chwili jej nie poznałam. Bardzo się zmieniła odkąd ostatni raz była u nas w domu, odwiedzając John'a. Niegdyś sięgające prawie do pasa włosy ścięła „na chłopaka”, trochę schudła, przekuła nos, a na twarzy nie miała makijażu, który zwykła nakładać.

- Hej, Sarah – powiedziałam podchodząc, by zwrócić na siebie uwagę.

- Jane? - dziewczyna spojrzała w moim kierunku zdziwiona – Co tu robisz? Coś się stało z John'em?

- Nie, nic. Ma się dobrze - uspokoiłam ją.

- W takim razie co tu robisz? - dopytywała.

- John mi o wszystkim powiedział.

- Musisz mi wszystko powiedzieć.

Dziewczyna przedstawiła mnie swoim znajomym ze stolika. Usiadłam z nimi, by zjeść gorzką owsiankę i porozmawiać.

Po skończonym śniadaniu wróciłam do sypialni. Gdyby nie tabliczka z nazwą oddziału, na pewno bym się zgubiła. W środku siedzieli wszyscy mieszkańcy pokoju. Harris i Kim dyskutowali o czymś i nie wydawała się to być przyjemna rozmowa.

- Może dlatego, że twoje pomysły są złe – krzyknął Harris.

- Może ty po prostu ich nie doceniasz!

Nie czułam się zbyt komfortowo w sytuacji, kiedy dwójka ludzi się kłóciła, ale reszta oddziału wyglądała jakby już się do tego przyzwyczaiła. Dziewczyny rozmawiały o czymś cicho, a Andrew ukrywał twarz za ekranem komputera. Ja usiadłam na swoim materacu nieco zagubiona, starając się ignorować podniesione głosy.

- To się często zdarza – Andrew odszedł od swojego komputera, usiadł obok mnie i zaczął rozmowę prawie szeptem.

- O co oni się kłócą?

- O wszystko. Zawsze – chłopiec nieco spochmurniał – Jestem tutaj najmądrzejszym mężczyzną.

Uśmiechnęłam się do niego przyjaźnie.

- Jane – zwrócił się do mnie Harris – Może chcesz obejrzeć strzelnicę?

- W porządku.

Zrozumiałam, że miałam być jego pretekstem do wyjścia, więc zgodziłam się, mimo że słowo „strzelnica” budziło we mnie lekki niepokój.

- Też mogę iść? - poprosił Andrew.

- Znasz zasady. Zakaz broni palnej aż do ukończenia czternastego roku życia – przypomniała mu Diana.

Chłopiec westchnął i wrócił do komputera.

- Chodźmy już – wstałam szybko, widząc wściekły wzrok Kim'a.

Harris zaprowadził mnie piętro niżej do sali, w której stały tarcze strzelnicze.

- Strzelałaś już kiedyś? - zapytał Harris.

- Tylko z pistoletu na wodę.

- To... Już coś – uśmiechnął się.

W drodze tu, zdążył się uspokoić po kłótni. Cieszyłam się, że nie jest roztrzęsiony, podczas trzymania broni. Chłopak otworzył szafkę pełną pistoletów. Było ich wiele, a większość z nich wydawała się stara i zużyta. Chwilę z niej grzebał, a następnie wyjął dwa podobne do siebie bronie. Jedną z nich podał mi. Chwilę się wahałam, zanim wzięłam go do ręki.

- Wszystkiego cię nauczymy.

Poczucie trzymania broni w ręce sprawiało, że cała się trzęsałam.

- Spokojnie – uspokajał Harris – na początek musisz ustać w dobry sposób.

- To ważne? - zdziwiłam się.

- Jeśli nie chcesz sobie zrobić krzywdy. Rozstaw nogi. Trochę szerzej niż biodra. - instruował. Zrobiłam co kazał.

- Teraz biodra trochę do tyłu.

Przyjęłam pozycję, która musiała wyglądać komicznie. Harris nawet się zaśmiał, a potem podszedł do mnie, chwycił w pasie i ustawił w odpowiedniej pozycji.

- Mają być delikatnie pochylone do tyłu, nie udawaj kaczkę – mówił z uśmiechem, a ja się lekko zawstydziałam.

Nie wiedziałam czy to z powodu pozycji jaką przyjęłam, czy też tego, że chłopak przed chwilą trzymał mnie w pasie.

Następnie Harris na przykładzie swoich dłoni i pistoletu pokazał mi jak go prawidłowo trzymać.

- Chyba jesteś gotowa – powiedział kiedy upewnił się, że wszystko wykonuje poprawnie – Tylko się nie denerwuj i bądź rozluźniona. Strzel kiedy będziesz gotowa - mówiąc to, podał mi słuchawki ochronne, a następnie sam założył jedno.

Powoli ustałam w odpowiedniej pozycji i i wyciągnęłam przed siebie ręce z pistoletem. Na początku trochę się trzęsałam, ale potem udało mi się nad tym zapanować. Powoli podniosłam pistolet na wysokość oczu i wycelowałam. Wzięłam kilka głębokich oddechów, po czym powoli pociągnęłam za spust. Tak właśnie oddałam swój pierwszy strzał, który okazał się być bardzo nie celny. Nie trafiłam nawet w tarcze, ale obok.

Wróciliśmy do sypialni dopiero po kilku godzinach. Kiedy weszliśmy do środka, nikogo tam nie było. Usiadłam na łóżku, czując potworny ból w rękach.

- Pewnie wszyscy są na obiedzie. Jest już całkiem późno – zauważył Harris – Chodźmy tam.

- Właściwie nie jestem głodna. Zostanę tu.

Mówiłam prawdę. W ustach wciąż miałam gorzki posmak owsianki.

- W takim razie możesz tu zostać – skierował się do wyjścia.

Już przechodził przez drzwi, kiedy go zatrzymałam.

- Harris. Masz może kartkę i coś do pisania?

Spędziłam kilkanaście minut, próbując napisać list do brata, ale nie wiedziałam jak ubrać w słowa całą sytuację. Kiedy rozmawiałam z Sarah'ą zaoferowała, że wyśle list, jeśli tylko uda mi się go napisać. Problem polegał na tym, że od dłuższego czasu, wszystko co pisałam, nie wydawało mi się wystarczająco dobre. Więc tylko gniołłam strony wyrwane z notatnika, otrzymane od Harris'a. Kiedy zobaczyłam, że została mi już tylko jedna kartka, postanowiłam się przyłożyć i nareszcie coś napisać. Zrobiłam tak, ale kiedy przeczytałam list na głos wydał mi się po prostu głupi. Zła na siebie zgmiotłam go w kulkę i rzuciłam nim o ścianę.

Tej nocy, w nowym miejscu, nie mogłam zasnąć. Dużo myślałam o rodzicach i bracie. Nie mogłam się nawet wiercić, bo mój materac skrzypiał przy najmniejszym ruchu. Więc jedyne co robiłam to leżenie z zamkniętymi oczami. Otworzyłam je, kiedy usłyszałam, że ktoś w pokoju wstaje z łóżka. Zobaczyłam niewyraźną, szczupłą sylwetkę Diany podchodzącej do okna. Dziewczyna wyszła przez nie i podciągnęła się na dach. Wydało mi się to dziwne. Wstałam powoli, by mój materac wydał z siebie jak najmniej dźwięków, założyłam okulary i także podeszłam do okna. Ustałam na parapecie i próbowałam się podciągnąć, ale nie wyszło mi to najlepiej.

- Kto tam jest? - usłyszałam głos Diany dochodzący z góry, a następnie zobaczyłam jej głowę centralnie nad moją.

- Co robisz...? Przepraszam, ale nie pamiętam twojego imienia.

- Nie szkodzi. Jestem Jane. Zauważyłam jak tu wchodzisz – wytłumaczyłam.

- Możesz wejść na górę.

- Obawiam się, że nie dam rady – przyznałam.

Dziewczyna podała mi rękę i wspólnymi siłami udało nam się wciągnąć mnie na dach. Obok Diany stało otwarte pudełko wypełnione różnymi rodzajami ulotek i papieru.

- Co tutaj robisz? - zapytałam.

- No... Składałam origami. Różne rzeczy – wskazała na drugie pudełko, którego wcześniej nie zauważyłam. W środku znajdowały się najróżniejsze przedmioty złożone z papieru.

- To... imponujące.

Diana tylko pokiwała głową i wzięła do ręki niezłożoną jeszcze ulotkę.

- Wydaję mi się, że gdzieś cię już widziałam – wyznała Diana – Byłaś w senacie w dzień naszego ataku?

- Tak. Czekaj... - wtedy mnie olśniło – To ty podałaś mi okulary?

- To ty upuściłaś okulary? - uśmiechnęła się.

- Jestem straszną niezdara.

Po chwili Diana powróciła do origami.

- Kto cię tego nauczył? - zapytałam.

- Tata... - dziewczyna pochyliła głowę i widocznie posmutniała.

Domyśliłam się, że trafiłam w czuły punkt. Stwierdziłam, że zadawanie pytań w takim momencie nie jest najlepszym rozwiązaniem. Czekałam aż Diana odezwie się sama, ale ona ponownie skupiła się na kartce. Zapadła długa cisza, którą co jakiś czas przerywał szelest papieru. Powoli położyłam się na plecach i wyprostowałam nogi. Czułam pod sobą zimny, nieprzyjemny beton, a gdzieś tam kamienie wbijały mi się w skórę, lecz nie zmieniałam pozycji. Wpatrywałam się w księżyc.

- Wiedziałaś, że kiedyś gwiazdy były o wiele bardziej widoczne? - odezwał się w końcu.

Nie mogłam dłużej znieść niezręcznej ciszy, więc powiedziałam pierwsze, co mi przyszło do głowy. Przypominałam sobie, że czytałam o tym w jednej ze starych książek taty.

- Było ich tak dużo, że ludzie układali z nich jakby kształty. Nazywali je gwiazdozbiorami – kontynuowałam.

Kątem oka zobaczyłam, że Diana także się położyła.

- Rzeczywiście - stwierdziła.

Nad nami świeciły niewyraźnie dwie może trzy gwiazdy.

- Nadal gdzieś tam są – westchnęłam.

- Tam gdzie ja i Andrew mieszkaliśmy było ich o wiele więcej. Mała farma, daleko od miasta. Utrzymywaliśmy się jakoś. Mieliśmy zwierzęta. Pewnego dnia stwierdziłam, że mi ich szkoda i postanowiłam nigdy więcej nie wziąć mięsa do ust. Miałam dziesięć lat – w jej głosie słyszeć było melancholie – Chciałabym tam wrócić.

- Czemu nie?

Dziewczyna z powrotem usiadła.

- Nie lubię o tym mówić, ale my... Straciliśmy dom w pożarze.

- Przenieśliście się do miasta?

- Właściwie to uciekliśmy. Ja i mój brat. Nasi rodzice... - przerwała, odwróciła głowę w przeciwnym kierunku i zaczęła bawić się swoim drucianym pierścieniem.

- Nie musisz mówić jeśli nie chcesz – przysunęłam się do niej, tak, że nasze ramiona się stykały, chcąc dodać jej otuchy.

Dziewczyna odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

- W tym pożarze straciłam dom i rodziców...

- Och – wydusiłam z siebie i od razu uznałam, że mogłabym się bardziej wysilić i powiedzieć coś innego.

Istnieją o wiele lepsze wyrażenia niż „och”, kiedy się słyszy o śmierci cudzych rodziców, tylko, że akurat żadne nie przyszło mi do głowy.

- Słuchaj – odwróciła się w moim kierunku – Nie chcę z siebie robić ofiary i uwierz, że zazwyczaj nie chwalebę się tym nowo poznanym ludziom. Zwłaszcza jeśli nie potrafię zapamiętać ich imienia...

- W porządku – przerwałam jej.

Potem znów nastąpiła cisza. Chciałam coś powiedzieć, ale nie wiedziałam co, jakby wszystkie słowa wyleciały mi z głowy. W końcu to Diana się odezwała.

- Chyba pójdę już spać. Dzięki za rozmowę – powiedziała zmuszając się do ziewnięcia, pozbierała swoje origami, wzięła pudełko w jedną rękę, a drugą trzymając się rynny, zeskoczyła na parapet.

Zazdrościłam jej takiej zwinności.

- Dobranoc – rzuciłam w jej kierunku, kiedy przechodziła przez okno.

- Dobranoc – odpowiedziała prawie szeptem.

Następnego dnia obudziła mnie Clara, która kopnęła mój materac.

- Lepiej wstawaj, jeśli chcesz zdążyć na śniadanie – powiedziała.

Podniosłam się powoli. Byłam strasznie obolała po tym jak wczoraj schodząc z dachu, spadłam i w ostatniej chwili, złapałam się parapetu. Przy tym bardzo się poobijałam.

- Chłopcy już wyszli, żebyśmy mogły się przebrać – poinformowała mnie Diana stojąca obok w samej bieliźnie.

Wolałabym się przebrać sama w łazience, ale, że dzieliśmy ją z dwoma innymi oddziałami, prawie zawsze rano była zajęta. Nie miałam wyboru, więc zaczęłam się zmieniać ubrania strasznie się przy tym ociągając, jak zwykłam robić rano.

- Po śniadaniu będziemy ćwiczyć walkę wręcz – poinformowała mnie Clara.

Pokiwałam głową.

- Harris mówił, że jesteś w tym dobra – dodała Diana.

- Wujek uczył mnie kiedyś karate. To wszystko – wzruszyłam ramionami.

Przebrałam się, a potem pozwoliłam Dianie zrobić sobie warkocza. Sprawnie związała moje ciemne loki, czego ja nigdy nie potrafiłam zrobić.

- Dużo ćwiczyłaś. Codziennie czeszę siebie – odpowiedziała skromnie, gdy ją pochwaliłam. Gdy byłyśmy gotowe, udałyśmy się do jadalni. Dziś na talerzach pojawiła się tłusta jajecznica z bekonem.

- To może być zjadliwe – ucieszyła się Clara.

- Dla ciebie – westchnęła Diana – Mogę się założyć, że nie zrobili mi oddzielnej, bezmięsnej porcji.

Przez chwilę byłam zdziwiona, a potem przypomniałam sobie, o naszej wczorajszej rozmowie. Diana wyznała, że nie je mięsa odkąd skończyła dziesięć lat.

- Nie robisz ci bezmięsnych posiłków? - zapytałam kiedy we trzy ustałyśmy w kolejce.

- Czasami tak, nie zawsze.

Tym razem rzeczywiście okazało się, że dziewczyna nie dostała jajecznicę bez mięsa, ale kobieta, która wydawała jedzenie, dała jej banana.

Usiadłyśmy przy stoliku razem z chłopakami z naszego oddziału.

- Piszą o nas w gazecie – powiedział Harris zanim w ogóle zdążyłam wziąć do ręki widelec.

- Co takiego? - zapytała Clara, która w przeciwieństwie do mnie miała już całe usta pełne jajecznicą.

To jak szybko jadła było wręcz zadziwiające.

- Jesteśmy sławni – uśmiechnął się kpiąco Kim.

- To nie jest śmieszne. Oni nam praktycznie grożą w tym artykule.

- Przeczytaj, proszę – powiedziała Diana wciąż obierając banana ze skórki.

- Na przykład ten fragment wypowiedzi premiera: „Jesteśmy już w trakcie poszukiwań. Nie możemy pozwolić, by kilka wynaturzeń zakłóciło harmonię naszego społeczeństwa. Jestem pewien, że wkrótce ich znajdziemy, a wtedy dostaną to na co zasłużyli”. To nie brzmi dobrze.

Po treningu walki, byłam strasznie zmęczona. Dałam radę pokonać, Dianę i Kim'a, który zachowywał się jak rozpieszczony dzieciak przez cały czas, ale nie dałam sobie rady z Clarą. Od razu po treningu poszłam wziąć prysznic i nie czekając nawet na obiad, położyłam się na materacu i momentalnie zasnęłam. Obudziłam się dopiero w środku nocy. Próbowałam zasnąć ponownie, ale nie mogłam. Postanowiłam przejść się trochę po budynku. Kiedy spacerowałam, zauważyłam otwarte drzwi do jadalni.

Weszłam tam z ciekawości. Było tam strasznie zimno, a w powietrzu unosił się zapach chemikaliów pomieszanych z farbą. Przy jednej ze ścian, na krześle stał Kim z puszką farby w spray'u w ręce. Podeszłam nieco bliżej, by przyjrzeć się jego pracy.

- To wszystko...to ty namalowałaś? - zapytałam się po chwili.

- Jestem zdolny – powiedział, a potem odwrócił się w moim kierunku. – Mówię tak odruchowo. Podoba ci się?

- Jest ładne. Ale wolałabym je zobaczyć skończone.

Chłopak wzruszył ramionami i wrócił do pracy. Przyjrzałam się dokładniej grafitti. Przedstawiało żółwia niosącego na skorupie planetę ziemię. Został narysowany bardzo dokładnie i szczegółowo, lecz niestaranną kreską. Gdy bliżej mu się przyjrzałam, zorientowałam się, że patrzę na coś, co już widziałam.

- Znam ten... - nie zdążyłam dokończyć.

- Jest taki w dzielnicy średniaków. Mojego autorstwa. - odrzekł chłopak.

Pokiwałam głową, zanim dotarło do mnie, że Kim nie patrzy w moją stronę, tylko dodaje do swojego grafitti napis

- Masz tylko jedną szansę - odczytałam na głos zanim chłopak zdążył w ogóle dokończyć zdanie.

- Czyżby znalazła się fanka moich dzieł? – odwrócił głowę w moją stronę i uśmiechnął się trochę flirciarsko.

- Właściwie to znam tylko jedno. Ale...co ty robiłeś w mojej dzielnicy? - zdziwiłam się.

- Kiedy byłem bezdomny, włóczyłem się tu i tam - chłopak zeskoczył z krzesła i ustał ze mną twarzą w twarz. - Wiesz, że pochodzę z wyższej klasy. Nie to co większość osób tu. Moi rodzice wspierali rząd, a ja uciekłem kiedy chcieli mnie w to włączyć. Nie żebym nie kochał moich rodziców. Po prostu są omamieni całą tą propagandą. Mam nadzieję, że mój młodszy brat też nie da się w to wciągnąć. Szczerze to wolałabym zostać w domu, ale kazaliby mi podpisać te głupie dokumenty. Łaziłem całym światem i tworzyłem. No a potem wstąpiłem tutaj.

Przez cały czas słuchałam w milczeniu, a kiedy Kim skończył opowiadać, nie wiedziałam co powiedzieć.

- Dlatego Harris cię tak nie lubi? Bo jesteś z wyższej klasy? - zapytałam w końcu.

- Raczej dla tego, że mam inny pomysł na to...Na to wszystko. Nie walczę zbyt dobrze. Ale ja nie lubię przemocy. Nie chcę wojny. Dało by się to na pewno rozwiązać inaczej. Jestem artystą, nie żołnierzem.

Po tych słowach spojrzałam na niego zupełnie inaczej. Bo chociaż trudno było mi wyobrazić sobie pokojowe rozwiązanie, to po tej rozmowie Kim w moich oczach zaczął być bardziej mężczyzną, a mniej rozpieszczonym dzieciakiem.

Kilka dni później, przy obiedzie podeszła do mnie Sarah.

- Mam coś dla ciebie – wręczyła mi kopertę – Nie napisałaś do brata, więc ja to zrobiłam. Teraz przynajmniej nie będzie się martwił.

- Dzięki. To miłe z twojej strony – wzięłam do ręki list. Był zaadresowany do mnie, pismem mojego John'a.

- Może się dosiądziesz? - spytała Clara siedząca obok mnie.

- Dzięki, ale już obiecałam koleżanką, że trochę z nimi pogadam. Może innym razem. - powiedziała i chwilę potem wróciła do swojego stolika.

Zaciekawiona otworzyłam kopertę, wyciągnęłam list i zaczęłam czytać.

Siostrzyczko,

Nie wiem co sobie myślałaś uciekając z domu, ale wiedz, że wszyscy się martwimy.

Miałaś wielkie szczęście, że Harris cię znalazł, bo inaczej nie wiadomo co by się z tobą stało. To co zrobiłaś było bardzo głupie. Odkąd Sarah napisała, przynajmniej wiem, że żyjesz, ale nie mogę tego powiedzieć rodzicom. To dobrze, że wykazałaś inicjatywę pomocy, ale mogłaś najpierw porozmawiać ze mną. Oglądałaś ostatnie wiadomości. Możecie być w

niebezpieczeństwie.

Nie mam dużo czasu, by się rozpisać, ale mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. Napisz list, jeśli będziesz mogła.

John

Wieczorem leżałam w łóżku, pisząc list do brata pożyczonym długopisem, w czasie kiedy reszta oddziału oglądała wiadomości.

- Chodź tutaj, Jane – zawołał mnie Kim – Mówią o nas.

Niechętnie wstałam i podeszłam bliżej telewizora, by cokolwiek usłyszeć.

- Najnowsze doniesienia mówią, że kryjówka zamachowców znajduje się w dzielnicy zamieszkałej przez najbiedniejszych w mieście 12. Nie wiadomo jeszcze, gdzie dokładnie ukrywają się sprawcy, ale śledczy już nad tym pracują – mówił prezenter – Będziemy informować państwa na bieżąco.

Po tych słowach włączyły się reklamy.

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało. Wymieniłam zaniepokojone spojrzenia z Dianą.

- Muszę porozmawiać z innymi dowódcami – powiedział Harris i szybko wyszedł z pomieszczenia.

Przez następny tydzień sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Diana zdecydowała, że w zaistniałym niebezpieczeństwie, Andrew może uczyć się strzelać. Ja też postanowiłam poćwiczyć, lecz Harris miał wiele rzeczy na głowie, więc postanowiłam poćwiczyć sama. Po pewnym czasie, przyzwyczałam się do trzymania broni w ręce i już się tak nie stresowałam, ale wciąż musiałam popracować nad celnością. Codziennie wieczorem chodziłam na strzelnicę i wychodziło mi to coraz lepiej.

Pewnego dnia po skończonych ćwiczeniach udałam się do jadalni na kolację. Jeszcze przed wejściem było słychać dochodzące stamtąd rozmowy, głośniejsze i bardziej ożywione niż normalnie. Złapałam kontakt wzrokowy z Harrisem, kiedy tylko stanęłam w drzwiach. Chłopak podszedł do mnie uśmiechnięty, lecz widocznie poddenerwowany.

- Zdecydowaliśmy co zrobimy – powiedział.

- Jak to?

- Większość postanowiła, więc... Zaatakujemy zanim oni zdążą to zrobić.

- Chcecie znów ryzykować? - zdziwiłam się.

Nie uważałam za dobry pomysł kolejnych ataków. Byłam świadkiem jednego i bałam się, że mogą ucierpieć niewinni cywile.

- Musimy jeszcze wszystko zaplanować, ale mamy tylko tydzień – tłumaczył. - wyjaśnię wam wszystko wieczorem.

To, że nie znałam szczegółów sprawiało, że martwiłam się i irytowałam jednocześnie, ale przytaknęłam. Chciałam coś jeszcze dodać, ale podszedł do nas inny dowódca i zaczął dyskutować z Harrisem. Nie do końca wiedziałam co robić, więc oddaliłam się, a oni zdawali się nawet tego nie dostrzec. Stanęłam w kolejce po swoją porcję czegoś, co na talerzach innych wyglądało jak kasza polana brązowym sosem o konsystencji gluta z dodatkiem mielonego mięsa niezidentyfikowanego zwierzęcia. Rozglądając się po sali, wśród ożywionych ludzi, siedzących w dużych grupkach i dyskutujących, dostrzegłam Dianę siedzącą samą przy stole. Stwierdziłam, że nie będzie mi szkoda jeśli zabraknie dla mnie jedzenia, więc wyszłam z kolejki i podeszłam do niej. Jadła sałatkę owocową wyglądającą o wiele bardziej apetycznie niż jedzenie innych i wydawała się jakby nieobecna.

- Hej – przywitałam się i usiadłam naprzeciwko.

- Ach, Jane – podniosła wzrok znad miski, w której grzebała widelcem – Słyszałaś nowiny?

- Tak, ale nie znam szczegółów. Coś się stało? - zapytałam wprost, zapominając, że dziewczyna pewnie i tak nic nie powie.

- Nie – wzruszyła ramionami i ponownie skierowała wzrok na miskę – Chcesz banana? Ja za nim nie przepadam.

Nie czekając na odpowiedź przysunęła w moim kierunku sałatkę wraz z widelcem. Przez chwilę nie wiedziałam co robić, lecz wzięłam widelec i zaczęłam wyjadać banana, co wydawało się lepszą opcją niż danie, które powinnam dostać.

- Możesz zjeść wszystko, ja nie jestem głodna.

Uśmiechnęła się, ale wciąż nie wyglądała na szczęśliwą.

- Cześć Jane – Andrew usiadł przy stole – Słyszałaś? Biorą mnie na misję – prawie krzyczał z podekscytowania. Nareszcie. Rozmawiałem z chłopakami z innych oddziałów i wszystko mi wyjaśnili – nawijał dalej bardziej szczęśliwy niż kiedykolwiek.

Jego siostra nie zdawała się podzielać jego radości. Wtedy zrozumiałam dlaczego. Byłam prawie pewna, że po prostu bała się o brata. Dziewczyna zdjęła z palca swój druciany pierścionek i obracała go w palcach jak zawsze kiedy się denerwowała rozmową. Chociaż odwracała wzrok, zobaczyłam, że do jej oczu napływały łzy.

- Diana? Wszystko w porządku? - zapytałam.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Wstała i wyszła z pomieszczenia.

- Diana! Otwórz! Diana! - krzyczałam i pukałam do drzwi łazienki w naszym pokoju. Powiedziałam Andrew żeby się nie przejmował i obiecałam, że porozmawiam z jego siostrą, ale to nie było takie proste. Diana zamknęła się w łazience, a ja nie mogłam jej przekonać do rozmowy już od kilkunastu minut.

Reszta naszego oddziału była jeszcze na kolacji, lecz wiedziałam, że niedługo wrócą i nie dam rady pogadać z Dianą sam na sam.

- Proszę. Możesz mi powiedzieć. Nie przejmuj się.

- Nic mi nie jest – odpowiedziała prawie niesłyszalnie.

Oparłam się o drzwi, czując się bezsilna. Na dodatek od pukania zaczynały mnie boleć palce. Oddychałam głęboko próbując się uspokoić, gdy nagle Diana otworzyła drzwi i straciłam podparcie. Z trudem się nie przewróciłam, łapiąc się framugi.

- Uważaj – Diana przeszła obok mnie, weszła do pokoju i usiadła na swoim łóżku.

Przez płacz, jej twarz była lekko opuchnięta i zaczerwieniona.

- Co się dzieje? - spytałam i usiadłam naprzeciwko niej, krzyżując nogi.

Dziewczyna rozpuściła włosy, więc rude pukle opadały jej na twarz, tak, że była prawie nie widoczna.

- Wiesz, że nie chcę o tym mówić – odpowiedziała cicho.

Nie chciałam na nią naciskać, lecz z drugiej strony wiedziałam, że gdyby się wyzaliła, poczułaby się lepiej. Nic nie powiedziałam, lecz odgarnęłam jej włosy z twarzy, zmuszając ją tym samym żeby spojrzała mi w oczy.

- W- wiem, że nie p-powinnam się tak zachowywać – mówiła drżącym głosem – Ja po prostu... Andrew jest moją jedyną rodziną, g-gdyby coś mu się stało... Nie wyb-baczyłabym sobie.

Do jej oczu ponownie napłynęły łzy.

- Nie znam sprytniejszego i zaradnego chłopca niż twój brat. Poradzi sobie lepiej niż ktokolwiek z nas – próbowałam ją pocieszyć.

- To co robimy jest bardzo niebezpieczne. Wielu ludzi ginie, Harris nie wiedział kiedy przestać i o mały włos nie stracił ręki. Wszystko było w porządku kiedy siedział tu i pomagał. Jest za młody. Jeszcze do niedawna Harris sam tak uważał, a teraz... - schowała twarz w dłoniach – Przynależałam sobie, że będę go chronić.

- To nie twoja wina, Diano. Po za tym na pewno nic mu się nie stanie – położyłam jej rękę na ramieniu.

W tamtym momencie czułam się bezsilna nie wiedząc jak pomóc Dianie ani jak ją pocieszyć. Chciałam jej jedynie przekazać, że ma moje wsparcie.

Dziewczyna zbliżyła się do mnie, oparła głowę na mojej klatce piersiowej i po chwili zaczęła płakać. Było to ogromne zbliżenie, jak na niecałe trzy tygodnie znajomości, co wprawiło mnie w lekkie zakłopotanie. Przez chwilę siedziałam nieruchomo, a potem niepewnie położyłam jej rękę na plechach. Zastygłyśmy w tej pozycji w ciszy, przerywanej czasami

przez chlupanie lub pociąganie nosem Diany.

Wieczorem cały oddział oprócz Harrisa zebrał się w sypialni. Andrew pokazywał coś Clarze na komputerze, Diana leżała na łóżku gapiąc się w sufit, Kim rysował coś w swoim notatniku, a ja siedziałam na łóżku zmywając plamę ze spodni moką chusteczką. Przebrałam się już w koszulę nocną pożyczoną od Clary i zamierzałam iść spać, kiedy tylko przyjdzie Harris i opowie nam szczegóły planu. Nie musiałam długo czekać, bo zjawił się w pokoju zanim udało mi się wyczyścić spodnie.

- Cześć wszystkim. Obiecałem, że opowiem szczegóły planu - usiadł na swoim łóżku.

- Nie możemy się doczekać nowych sposobów na śmierć – powiedział Kim z ironią.

- Słuchajcie. Niedawno odkryliśmy haczyk na rząd. Złota Sala.

- Złote co? - Andrew zmarszczył brwi.

- Ogromny pokój. Cały ze złota. Można by za to wybudować domy dla potrzebujących. Pomyśleliśmy, że jeśli pokażemy to światu, to mogą przejść na naszą stronę.

- Jak zamierzasz to pokazać? - zapytałam.

- Telewizja. Nasi technicy się tym zajmą. Nadamy stamtąd wiadomość. Wciąż mamy tajne przejścia i wtyki w senacie. Będziemy działać oddziałami. Większość ma za zadanie odwracać uwagę. My mamy zadanie specjalne. Dostać się do Złotej Sali i nadać stamtąd komunikat.

Tydzień minął w zaskakującym tempie. Wszyscy byliśmy bardzo przejęci, kiedy wychodziliśmy rano z opuszczonej fabryki. Od razu poszliśmy w inną stronę niż reszta. Plan zakładał, że dostaniemy się do senatu przez ścieki, tak jak podczas zamachu. Znaleźliśmy najbliższą kratkę ściekową. I schodziliśmy pojedynczo. Andrew musiał szczególnie uważać na kamerę, którą zadeklarował się nieść.

- Nie pachnie tu zbyt dobrze – stwierdził Kim, który wszedł jako ostatni.

Ruszyliśmy przed siebie, mącząc nogawki spodni w wodzie ze ścieków. Harris miał rozrysowany plan ścieków, dzięki czemu mógł nas prowadzić. W pewnym momencie usłyszeliśmy szum, a poziom wody zaczął się gwałtownie podnosić.

- Harris – powiedziała niespokojnie Diana – Obawiam się, że to może być pułapka.

- Napuszczają tu wodę żeby nas utopić? - przestraszyłam się.

Zaczęliśmy biec. Woda sięgała nam już do ud.

- Nie damy rady – odezwał się Kim – Wyjdźmy jakąś kratką...

Spojrzałam w górę w poszukiwaniu wyjścia, ale w kratkach włączono funkcję zamknięcia, która miała służyć nie wrzucaniu tam śmieci przez przechodniów, a nie topieniu ludzi.

- Obawiam się, że to nie możliwe – wskazałam na zamknięte kratki.

Andrew, starając się nie zamoczyć kamery i tak wszedł na drabinkę.

- Skąd wiedzieli, że tu będziemy? - krzyknęła Clara.

Woda sięgała mi już do pasa. Zaczęłam iść za Andrew po drabinie z nadzieją, że uda nam się jakoś otworzyć kratkę.

- Da się coś zrobić?! - Harris starał się przekrzyczeć szum wody.

- Ani drgnie! - odpowiadał Andrew.

- Odsuńcie się! Strzele w to – Kim wyciągnął pistolet.

Pociągnęłam Andrew z powrotem na dół, ale chłopiec, tak samo jak Harris, który pływał w miejscu, nie sięgał nogami do podłoża. Widząc nasz problem, Harris podpłynął do nas i kazał Andrew złapać się jego szyi. Ja ustałam w wodzie, trzymając kamerę nad głową.

- Uwaga! Strzelam! - usłyszałam głos Kim'a a potem tylko straszny huk.

Ważne było to, że jego metoda zadziałała. W kratka wyleciała w powietrze. Wszyscy rzuciliśmy się w kierunku drabinki. Próbuąc się wydostać uderzyłam się kolanem o drabinkę.

Na początku wyszedł Andrew, potem ja z kamerą, zaraz za mną, już z pewną trudnością, wyszła Clara. Reszta osób na chwilę znikła nam z oczu pod wodą. Przez dłuższą chwilę wydawało nam się, że już nie wypłyną, kiedy z wody wynurzył się Harris trzymający Dianę. Pomogliśmy im się wspiąć.

- Co z Kim'em? - spytał Andrew przerażony.

Harris tylko pokręcił głową ze smutkiem.

Tak umarł bohater. Zabity w walce, którą pogardzał, broniąc idei, w którą nie wierzył. Chciał lepszego jutra, którego nie dane mu było dożyć. Wszyscy byliśmy zszokowani i każde z nas milcząco próbowało pogodzić się z tym co się wydarzyło. Kim nie żył. Nawet nie pamiętałam jego ostatnich słów. Do oczu napływały łzy, rozmazując widok zalanego wodą tunelu. Chwilę jeszcze nic się nie działo, a nikt nie wiedział co robić, aż usłyszeliśmy wybuch niedaleko za nami. To były inne oddziały, odwracające uwagę.

- Musimy iść – usłyszałam za sobą głos Harrisa.

Nie chciałam się ruszać i nie miałam na to siły. Nie zrobiłam ani kroku, dopóki ktoś nie wziął mnie za rękę i nie odciągnął. Wiedziałam, że to Diana, ponieważ palcem wyczuwałam jej drucziany pierścionek. Ruszyliśmy gęsiego, szybkim krokiem. Idąc na chwilę zamknęłam oczy, dając się prowadzić. Próbowałam poukładać myśli i skupić się na tu i teraz. Ból w kolanie utrudniał mi chodzenie, ale teraz nie tym się przejmowałam. Większość z nas doszła do siebie, kiedy usłyszeliśmy następny wybuch. Straciliśmy dużo czasu, więc musieliśmy przyśpieszyć kroku. Jednak im szybciej szłam, tym bardziej odczuwalny był ból. Diana trzymała mnie za rękę i ciągnęła za sobą, lecz to sprawiało, że obie zostawałyśmy w tyle. Obróciłam się, kiedy usłyszałam głosy za plecami. W naszym kierunku zmierzali uzbrojeni policjanci.

- Harris! Szybciej! - krzyknęła Diana, która także ich zauważyła.

Cała grupa momentalnie zaczęła biec. Ja trzymałam się z tyłu ze świadomością, że jeśli nas dogonią, zginę pierwsza. Diana starała się nie biec zbyt szybko, ale puściła moją dłoń, kiedy jej brat potknął się i upadł na ziemię. Odwróciła się w moim kierunku, a ja swoim spojrzeniem starałam się przekazać „W porządku. Idź”, ale byłam przekonana, że wyglądało to bardziej jak grymas bólu. Dziewczyna wzięła od mnie kamerę, przyśpieszyła i po chwili była już przy bracie i pomogła mu wstać. Ja, choć bardzo się starałam, nie mogłam ich dogonić. Moi towarzysze oddalali się coraz bardziej, a ja zamiast przyśpieszyć – zwalniałam. Trudno było mi w ogóle złapać oddech, a tępy ból przeszywał całą moją nogę. Piach pod moimi nogami, zmienił się w kostkę brukową, co pozwoliło mi stwierdzić, że jestem w odpowiedniej dzielnicy miasta. Odwróciłam się za siebie z nadzieją, która po chwili się ulotniła zastąpiona przez strach. Policjanci byli kilka metrów za mną. Dziwiłam się, że jeszcze nie strzelają. Moi przyjaciele zniknęli za pobliskim zakrętem. Potknęłam się o krawężnik, ale w porę odzyskałam równowagę i biegłam dalej. Każdy mięsień mojego ciała pulsował. Miałam ochotę poddać się i zatrzymać, lecz zmuszałam się do dalszego w biegu. W myślach obiecywałam sobie, że jeśli przeżyję, będę biegać codziennie, by mieć lepszą kondycję. Skręciłam w ulicę, która wydawała mi się odpowiednia. Mój wybór okazał się trafny. Znalazłam się na głównej ulicy miasta. Na jej końcu wznosił się budynek senatu. Mój oddział był już prawie przy wejściu. Na ulicy znajdowało się kilku bogatych cywili, lecz szybko usunęli się na boki, kiedy tylko zobaczyli podążających za mną policjantów. Biegłam środkiem drogi sapiąc strasznie głośno. Koło mojej głowy przeleciał pocisk. Zrozumiałam, że muszę przyśpieszyć żeby przeżyć. Byłam już blisko celu, kiedy usłyszałam kolejny wystrzał. Kula drasnęła moje ramię i poczułam przeraźliwy ból, lecz nie zatrzymałam się. Dobiegłam do drzwi.

- Zaraz tu będą! - krzyknęłam wbiegając do środka.

Mój oddział już ogłuszył i rozbroił ochroniarzy.

- Jane! Co ci jest w rękę? - w oczach Diany widać było przerażenie.

- To nic takiego. Musimy koniecznie...

W tym momencie przez drzwi wbiegła policja. Uskoczyłam na bok, a Harris oddał w ich kierunku dwa celne strzały w nogi, tak aby przestali nas gonić, ale żeby mocno na tym nie ucierpieli.

- Dasz radę biec dalej? - zwrócił się do mnie.

Byłam strasznie zmęczona i prawie się przewracałam, ale skinęłam głową.

- Gotowa? - Diana ścisnęła moją rękę.

Stałam w ogromnej komnacie, gdzie wszystkie ściany, podłoga, żyrandole były zrobione ze złota. Na dodatek wokół stały pojedyncze sztabki. Kamera była już podłączona i za chwilę miała nadać film do ogólnokrajowej telewizji, a ja miałam wygłosić w nim przemówienie.

- Myślę, że dam radę – wzięłam głęboki oddech i także ścisnęłam dłoń Diany.

Harris trzymał kamerę, a reszta towarzyszy stała obok mnie.

- Za trzy, dwa... teraz – powiedział dowódca, a przekazywanie obrazu się zaczęło.

- Jestem Jane – zaczęłam mówić – Wiecie gdzie się teraz znajduję? W senacie. To tutaj zgromadzone są oszczędności, które można by wydać na szkoły dla biednych dzieci z niższej klasy, domy i jedzenie dla potrzebujących. Jednak są tu, a rząd mówi, że nie ma pieniędzy. My rebelianci wiemy jak jest naprawdę. Nie musicie się nas bać. To nie my jesteśmy zagrożeniem tego świata. Porzućcie cyfry, przecież macie imiona. Tylko razem możemy się temu przeciwstawić. Walczymy o nowy świat. O rzeczywiście lepszy świat.